

Biblioteka Savalla

Słynny gambista Jordi Savall od kilkunastu lat wydaje wielojęzyczne, bogato ilustrowane książko-płyty, które muzyką opowiadają historie i miejsca

Antropolog Dariusz Czaja we fragmencie książki *Kwintesencje. Pasaże barokowe* proponuje, jak można oryginalnie rozumieć i użytkować te wydawnictwa mimo częstej krytyki ze strony purystów muzyki dawnej.

Myślę, że w krytycznej ocenie biblioteki Savalla po trochu mylimy się wszyscy. Zdaje się, że nie powstała ona po to, by najpierw i przede wszystkim dogadzać naszym muzycznym upodobaniom. Tu chodziło o coś więcej i o coś innego: o wiedzę, erudycję, poznanie. Dlatego ocenianie poszczególnych „książek” przy pomocy kryteriów czysto estetycznych mijają się z celem. I dlatego też mam przekonanie, że – mimo pewnych krytyk i wątpliwości – te ciężkie, pięknie wydane i polakierowane tomy da się jednak uratować. W jaki sposób?

To bardzo proste. Trzeba tylko zmienić celownik, zobaczyć je w nowym kontekście, w innym nieco oświetleniu. A pomocą w tym zadaniu może być wspomniane przed chwilą brzydkie słowo „dydaktyzm”, mające przecież wspólny rdzeń z pozytywnie już pojmowaną „dydaktyką”. Otóż tak, wydaje mi się, że te opasłe, wielojęzyczne tomy można by z wielkim pożytkiem wykorzystać w edukacji. Nie tyle wszakże jako propozycje czysto muzyczne (którymi są najwyżej w części), ale przede wszystkim jako nieoczywiste i wyrafinowane pomoce dydaktyczne. To ostatnie wyrażenie nie ma, zdaje się, dobrych notowań u większości absolwentów szkół wszelakich. Przeciwnie: kojarzy się jak najgorzej, przypomina o szkolnej nudzie i edukacyjnej rutynie. Ale tutaj rozumiem je inaczej: w jak najlepszym, a to znaczy: otwierającym, twórczym, najbardziej szlachetnym sensie. Dydaktyka nie zawsze musi być dydaktyzmem, nauczanie nie zawsze musi przypominać pałkarstwo.

Mówiąc konkretnie: chodziłoby o to, żeby wraz z muzyką, poprzez muzykę, przy pomocy muzyki, dostarczyć słuchaczowi solidnej wiedzy antropologicznej. Solidnej, to znaczy takiej, która by wiarygodnie mówiła o człowieku, o jego ideach, uczuciach, pragnieniach, fascynacjach, lękach i obsesjach. O jego historii zapisanej w wielkich dziełach literatury (*Don Kichot*), w wielonarodowych i wieloreligijnych miejscach (Jerozolima), w odrażających rzeziach (zagłada kultury albigensów), ale i w twórczych porywach (wyprawa Kolumba). O tych wszystkich doniosłych kwestiach dowiadujemy się zazwyczaj w trybie dyskursywnym, ale okazuje się – a tomy Savalla tego przekonującym dowodem – że doskonale mogłaby opowiedzieć o nich także muzyka! Wydaje mi się, że właśnie tak rozumiany cel dydaktyczny (a nie żaden inny!) przyświecał nade wszystko Savallowi, kiedy myślał nad uruchomieniem w swojej firmie nowej serii muzycznej. Muzyka miała być tutaj silnie wpleciona w kulturę, miała być jej żywą i nie tylko ekspresyjną częścią. Miała być historycznym zapisem istotnych spraw ludzkich, rozpisaną na wiele utworów i kompozycji partyturą naszej kulturowej pamięci.

Tego rodzaju myślenie jest tak osobiwe, tak wywrotowe i niepopularne, że mało kto dostrzegł edukacyjne i poznawcze potencje, jakie tkwią w bibliotece Savalla. Zauważmy bowiem, w jakim miejscu naszego nauczania sytuuje się muzyka? Obojętne przy tym, czy myślimy o mających stempel naukowy syntezach historycznych, czy o rutynowym szkolnym nauczaniu. W tych pierwszych – muzyka jest zazwyczaj niekoniecznym dodatkiem do kwestii politycznych i gospodarczych, najważniejsze przecież są wojny, kryzysy rządowe, załamania rynkowe, a gdzieś tam daleko, na marginesie dziejów, [Monteverdi](#), Charpentier czy [Bach](#) piszą swoją muzykę. W tym drugim – jest najczęściej niekoniecznym dodatkiem do reszty, do dużo ważniejszych jakoby przedmiotów (wiedza o podstawach harmonii zawsze przegra z geometrią, choć przecież jedna i druga jest dzieckiem wyobraźni!).

Mimo tak spektakularnego poszerzenia w XX wieku naszej fonosfery, mimo odzyskania dla naszej pamięci setek wspaniałych dzieł, których istnienia poprzednie pokolenia nawet się nie domyślały, to gdy chodzi o miejsce w historii i kulturze, muzyka wciąż jest na szarym końcu. Tymczasem do pomyślenia jest teza odwrotna: że to muzyka jest rdzeniem kultury. Że to w niej zdeponowane jest to, co dla nas duchowo najcenniejsze.

Wielka muzyka to wciąż luksus dla nielicznych. Wydaje się nam, że jest ona zbędna do życia, niekonieczna, że jest co najwyżej eleganckim dodatkiem do prząsnego kożucha codzienności. O bezmyślnej praktyce szkolnej, zgodnie z którą muzykę odsyła się w najdalszy kąt naszego myślenia, trafnie pisał Stefan Rieger:

„Daniel Barenboim zadał kiedyś retoryczne, a melancholijne pytanie: jak to się dzieje, że w szkole angielskiej wbijają uczniom w głowę Szekspira, w niemieckiej – Goethego, we francuskiej – Moliere, a nikomu nie przyjdzie do głowy, by wykładać młodemu Anglikom [Purcella](#), Niemcom Bacha czy [Beethovena](#), a Francuzom [Berliozę](#) czy [Rameau](#)? Ba, nawet pierwszego lepszego gryziopiórka traktuje się z rewerencją, kompletnie zarazem ignorując największych poetów wszechczasów, jak Bach czy [Mozart](#), przed którymi geniusze literatury, pędzla lub fizyki cząsteczkowej padali na kolana. (...) Muzyka – komu to potrzebne? Ależ tylko to, co zbędne, jest naprawdę nieodzowne! Cóż innego może być dowodem naszego, pożałuj się Boże, człowieczeństwa?”

Nikt nie zaprzeczy: w dzisiejszej szkole oko wygrywa z uchem, literatura z muzyką. A ta ostatnia traktowana jest jako artykuł ostatniej potrzeby. Kto z osób decydujących o zasadniczym profilu współczesnej szkoły zdecydowałby się na takie zmiany programowe, by muzyka Monteverdiego i Bacha uzyskała wreszcie należne jej miejsce? Ile osób podpisałoby się dzisiaj pod tak radykalnym przewartościowaniem wszystkich wartości? A przecież dla wielu z tych, dla których muzyka jest codzienną strawą, to jest – niewymagająca solidnych uzasadnień – trzeźwa oczywistość. Tak, muzyka naprawdę jest „o niczym” i „po nic”, ale paradoks polega na tym, że to „nic” waży dużo bardziej niż to „coś”, co błyszczy w intelektualnych butikach współczesności. Może nic tak mocno nie obnaża nędzy późnokapitalistycznej logiki zysku, jak [madrygał](#) Gesualda, [aria Händla](#) czy [chorał](#) Bacha. W ich obliczu, w obliczu tego całkowicie bez-interesownego piękna, cały ten świat nakierowany na doraźną korzyść okazuje się jedynie burą mierzwą albo kupą trocin...

Warto sobie uświadomić, że dominujący obecnie sposób myślenia o roli i znaczeniu muzyki w naszym życiu (a raczej o ich braku) nie jest „naturalny”, przeciwnie: jest efektem historycznych szczególnych powikłań, których opis i analiza wymagałyby poważnego studium. To właśnie w ich wyniku muzyka, z przyzwyczajenia zwana klasyczną, przestała być żywą częścią naszego życia (obecnie tę funkcję spełnia w pewnym stopniu muzyka popularna). Innymi słowy: oznacza to, że ów tryb myślenia jest przygodny, zmienny. Nie ma on żadnych merytorycznych podstaw, podtrzymywany jest tylko siłą bezwładu edukacyjnych instytucji i myślową rutyną, wspartą na dogmacie przerwanej koncepcji natury ludzkiej. W tej sytuacji nie powinno nikogo dziwić, że sztuka [kontrapunktu](#) przegrywa o parę długości ze sporami dynastycznymi, obliczaniem pola trójkąta czy budową mitochondriów. Pomyśleć, że jeszcze w [średniowiecznym quadrivium](#) – obok arytmetyki, geometrii i astronomii – uczono także muzyki...

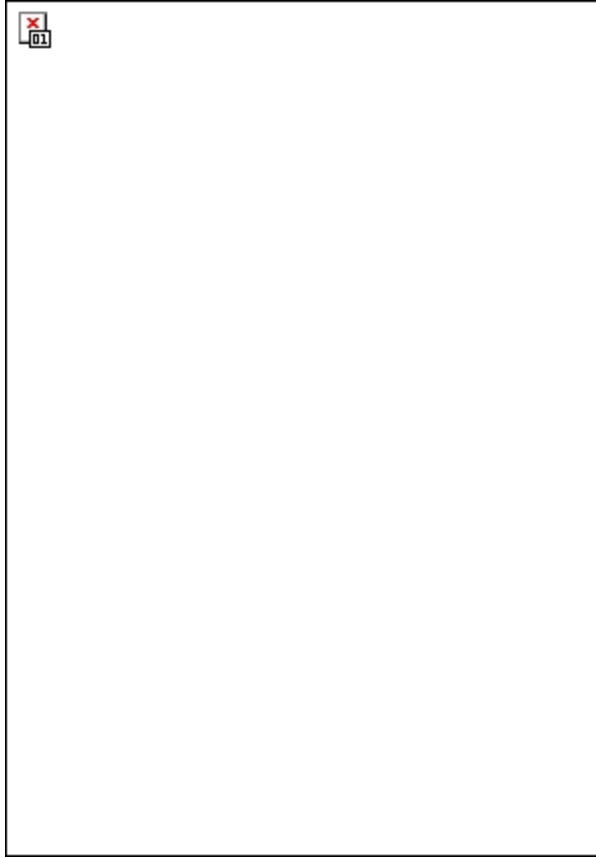
Niestety, tylko nieliczni dostrzegają fundamentalną rolę, jaką w naszym poznawaniu świata mogłaby pełnić muzyka. Posłuchajmy artystów, oni wiedzą więcej. Jaap ter Linden, [skrzypek barokowy](#) i znakomity nauczyciel gry na tym instrumencie, kładzie mocny nacisk na niedostrzegalny całkiem dla płaskich umysłów ścisły związek muzyki i życia: „Muzyka w swoim najlepszym kształcie jest sposobem wyrażania tego, czym żyjemy, czego doświadczamy, ona to wzbogaca i podkreśla, wydobywa pewne szczególne odcienie naszego życia”. A wspomniany wcześniej Barenboim mówi w jednym z wywiadów wprost, że „studiowanie muzyki jest jednym z najlepszych sposobów poznawania natury ludzkiej. Dlatego tak martwi mnie fakt, że właściwie nie ma nauki muzyki. Edukacja oznacza przygotowywanie dzieci do dorosłego życia, uczenie ich, jak mają się zachowywać i jakiego rodzaju ludźmi pragną być. Wszystko inne to jedynie informacje, których można nauczyć się w prosty sposób. Żeby dobrze grać muzykę, trzeba umieć odnaleźć równowagę między głową, sercem i brzuchem. Jeżeli jeden z tych czynników jest nieobecny albo jest obecny w nadmiarze, nie można go użyć. Czy jest lepszy sposób pokazania dzieciom, jak być ludźmi, niż za pomocą muzyki?”

Z wysokości półki z płytami nagranych przez Jordiego Savalla, odpowiedź zdaje się dość oczywista. Swoją bibliotekę przywraca on światu równowagę. Słuchając muzyki z jej grubych tomów, studiując (bo jak inaczej?) teksty pomieszczone w książeczkach, zdobywamy wiedzę, której w inny sposób nie zdobędziemy. Ta muzyka otwiera nas na inne światy, te dalekie – w przestrzeni geograficznej i te odległe – w przestrzeni historycznej. Słuchając jej nie musimy już pleść niezbornie (i nieprawdziwie!) o muzyce, która co najwyżej łagodzi obyczaje, ale możemy potraktować ją jako użyteczny instrument poznawczy. Wiedza, która wejdzie do głowy tą drogą pozostanie w nas na długo.

Methinks, I see... Próbuję sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać szkolna lekcja o – powiedzmy – narodzinach nowożytnej antropologii, gdyby skorzystać z jednej z „książek” Savalla. Hiszpania, przełom wieku XVI i XVII. Najpierw bardzo krótki wstęp historyczny. a później już głos Jesusa Fuente, który czyta nam początek arcyksięgi Cervantesa (w oryginale!), dalej hiszpańska *la Folia*, by wejść zgrabnie w szaleństwo, dalej ballada księcia Clarosa o miłości (*Media noche era por filo*), dalej pieśń Francisca Guerrero o wierności swojemu pragnieniu, dalej anonimowe *Requiem*... Poprzez muzykę wchodzimy, zanurzamy się w tamten świat, w świat tekstu literackiego, w świat muzyczny, ale i w świat mentalny tamtego czasu. Zagarniamy tę rzeczywistość zmysłowo. Dopiero teraz możemy wziąć do ręki świetny esej Petera Bergera o narodzinach zachodniej tożsamości, po to, by przeczytać w nim, że „połączenie wyzwolenia i samotności czyni z Don Kichota prototyp osobowości Zachodu”. I zastanowić się co to bliżej znaczy. Wiem, pomarzyć można...

Dariusz Czaja

D. Barenboim, E.W.Said, *Paralele i paradoksy. Rozmowy o muzyce i społeczeństwie*, przeł. A. Laskowski, warszawa 2007; S. Rieger, *Łabędzi śpiew muzyki*, „Tygodnik Powszechny” 1991, nr 5; *Sprawa życia i śmierci. Z Jaapem ter Lindenem rozmawia Magdalena Łoś-Komarnicka*, „Canor” 2001, nr 31; P. Berger, *Człowiek Zachodu: wyzwolenie i samotność*, „Aneks” nr 43–87.



Powyższy tekst stanowi fragment rozdziału *Biblioteka Savalla* pochodzący z książki *Kwintesencje. Pasaże barokowe*, wydanej przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne S.A. w 2014 roku; za zgodę na przedruk dziękujemy Wydawnictwu.